№ 3.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1841. Poznań, dnia 3. Lutego.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

HALSZKA.

(Ciąg dalszy.)

Tu dopiero widziała księżna Ostrogska, że nic opór nie pomoże; tak wszystko dobrze ułożono, że nim księżna myśleć mogła o obronie, napadnięte z nienacka straże i dworzanie zamkowi, bez wrzawy broń złożyć musieli. Gniew niemocy miotał jéj duszą; czuła się zwyciężoną, ale jeszcze uledz zupełnie przemocy nie chciała. Ująwszy Halszkę za rękę, gwałtem ją ku drzwiom porwała.

«To moja córka, mości kniaziu,» wołała — tylko ja i król jegomość mamy do niéj prawo. Wy tu nic nie macie do rządzenia, i póki ja żywa, nic z tego nie będzie.»

«O już też nadto tego uparta kobieto,» odrzekł kniaź Wasil i wraz z Dymitrem poskoczył ku drzwiom i wyrwał z rąk księżnej na wpół żywą dziewicę.

«Pilnujcie ją w téj komnacie,» rzekł do kilku swoich — «a my chodźmy skończyć tę komedyą, bo dalibóg już mi się przykrzy i wolałbym walczyć przeciw tłumom Tartarów, jak tu z temi babami takie mieć korowody.»

Milczała biedna Halszka; teraz dopiero poznała czego od niéj żądają i kędy popchnęły jéj łódkę przeciwne losy; cóż mógł znaczyć opór nędznéj dziewicy, co zaledwie myśli swe w osłabioném zebrać mogła ciele? i gdzież ją miał poprowadzić opór ten próżny, kiedy ona ni chęci ni celu nie znała? Łzy tylko były dla niéj jedyną obroną, i te z jéj smętnych wytrysnęły oczu na widok rozpaczy nieszczęśliwéj matki, z jaką jedynaczki dziś swojéj broniła. Raz jeszcze mimowolném wiedziona natchnieniem, wyrwała się z rąk stryja i biegła ku księżnie Ostrogskiéj.

«Matko moja,» wołała — «matko moja! cóż ja im zawiniłam, ratuj mnie matko!»

«Ja cię ratować, kiedy opuszczona od wszystkich, przemocy uledz muszę, lecz pomścić się za cię jestem w stanie i pomszczę się, jak mi Bóg miły....»

«Gdyby tu był Stanisław, matko, onby nas był uwolnił...» Reszta słów na ustach skonała i padła zemdlona do nóg matki.

> Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę;
> Morzem płyniesz i lądem idziesz ze mną w drogę. —
> *Mickiewicz.*

W całym blasku mroźnéj nocy świecił księżyc na ciemnych zawieszon błękitach. Wiatr co we dnie strzepywał zmarzły śnieg z gałęzi, ustał podwieczór. Białym śniegiem do koła pokryta dolina, z dala tylko białemi sterczała wzgórzami. Żaden odgłos, żaden szelest nie przerwał milczenia, wszędzie śnieg biały i lśniący jednostajnie gwiazdkami pomigał. — Wtém z dala szelest jakowyś przerwał tę jednostajność przyrody. Z małego pagórka zwolna jeździec spuszczał się w dolinę, snać myślał głęboko, bo puścił wodze koniowi, a ręce na krzyż założył i głowę schylił na piersi; wierny towarzysz chęć pana zrozumiał, bo zwolna i ostróżnie bitym stąpał szlakiem. Powoli i z cicha przesuwał się jak widmo w samotnéj dolinie, jak duch zmarłego rycerza, co błąkać zwykł z koniem po ziemskiéj krainie, bo ni podniósł głowy, ni konia po równi do biegu zachęcił, ni spojźrał na księżyc, co w pełnym blasku rzucał na niego blade swe pro-

mienie. Wtém z dala kolasy turkot, rozniósł się po dolinie. Wielki tam musiał być pośpiech, bo lejce koniom na wolność puścili, a zachęcając ich ruchem i słowem, z wiatrem w zapasy pobiegli. — Obok kolasy na dzielnym rumaku jechał mąż silnéj postawy, a koń parskał nozdrzem i krew arabczyka nagliła do pośpiechu, i białą grzywę i biały ogon podał na wiatry. Silnym kopytem zmarzłą rwał ziemię i w dal za się bryzgi śniegu ciskał. Gardził ostrogą, bo krew południowa na sam głos pana do biegu w nim wrzała, bo w stajni u żłobu on dostać nie umiał, i wiatru pęd szybki wolnym był dla niego. — I dzisiaj biegł rumak gdzie go pan prowadził, niepomny gdzie go ręka kierowała, niepomny kędy losy go zawiodą, dość dlań, że biegnąć mógł dzisiaj do woli. — Wtém poskoczył mocniéj, stulił małe uszy i z boku z obawą spoglądać się zdawał, to rycerz samotny strachu go nabawił. — Wzniósł głowę podróżny na orszak pospieszny i ponury, wzrok jego spoczął na kolasie. Zdało mu się, że dosłyszał jęk znanego głosu i jakby sztyletem przeszyty, poniósł rękę na zranione serce, ukłuł konia ostrogą i pędem poskoczył za oddalającym się szybko orszakiem, lecz w téj chwili wstrzymał znów rumaka i słowo «szalony» z ust się jego wymknęło.

«Szalony,» powtórzył raz jeszcze, niosąc rękę do smętnego czoła — «ah! czyliż wszędzie i zawsze ją tylko widzieć będę, i czyliż ani na chwilę nie zstąpi pokój w to nieszczęsne serce?» wyrzekł z cicha rycerz ponury, jakby od swobodnéj przyrody wzywał dla siebie wytchnienia choć chwilę. I znów daléj zwolna jechał, aż koń strudzony całodziennym pochodem, własnym wiedziony natchnieniem, stanął przed nędzną gospodą i tam wytchnienia i posiłku szukał.

Dnia czwartego z południa tenże sam koń i tenże sam rycerz do bracławskiego zbliżali się zamku. Już widać było wieżyce wyniosłe, co je blask słońca złotem przyodziewał, i mury zamku i baszty wysokie, jak je gdzie niegdzie śnieg biały okrywał. I cel to być musiał rycerza podróży, bo smętne oko na zamku spoczęło i spojźrał do koła, jakby chciał wiedzieć, która z dróg kilku dzielących się właśnie, do grodu Bracławia doprowadzi. — Na środku dróg rozstajnych pobożni ludzie postawili krzyż drewniany z męką Zbawiciela, a pod nią żebrak jakiś nabożne pieśni drżącym śpiewał głosem. Przeżegnał się rycerz przed świętém wiary znamieniem i już miał daléj pojechać, gdy żebrak kaleka przerwał pieśń swoję — na kuli postąpił ku niemu i o jałmużnę prosił.

«Panie rycerzu,» wołał za nim — «dajcie wsparcie biednemu kalece, a ja będę Boga prosił za was.»

Zatrzymał się rycerz, wyjął pieniądz z kieszeni i podał go żebrakowi.

«A jak wam na imie, mój panie», zapytał kaleka pieniądz odbierając — «bo ja się za was modlić będę, bo to i ja dawniéj wojskowo służyłem i dotąd stan ten najbardziéj lubię.»

»Imie moje Stanisław, ale niemódl się za mnie, módl się o szczęście Elżbiety.«

»Stanisław wasze imie, no patrzcie rycerzu, dopiero co skończyłem modlić się za Stanisława, a kto wie, czy to nie za was, bo widzę jedziecie na zamek Bracławski, a tam właśnie kazano mi się modlić za Stanisława.«

»Na zamku Bracławskim? ja tam nikogo nieznam, mój przyjacielu, ani mnie nikt tam nie zna, pierwszy raz w życiu tam jadę.«

»To zapewne jesteście krewniakiem owéj młodziuchnéj księżnéj, co ją sobie niedawno książe Dymitr przywiózł.«

»Książe Dymitr się ożenił? mylicie się zapewne staruszku.«

»Widać panie rycerzu, że z daleka jesteście, wszakcić ja biedny żebrak, a wiem o tém, że się ożenił, że wziął sobie śliczną i krasną żonę z wielkiego rodu i niemałéj fortuny, o! dorodna to Pani, tylko trochę blada i jakoś smutna, wcale nie na taką panią.«

»Co, widziałeś ją?« zapytał prędko do żywego wzruszony rycerz, — powiedz mi, z kąd przyjechała, co za jedna, jak — z kim się Dymitr ożenił.«

»Dobrze mój panie, ale chodźcie lepiéj do gospody, bo tu zimno a to długa historya.« — I wktótce siedzieli w gospodzie i rycerz chciwie słuchał żebraka powieści. »Oto słuchajcie panie, a powiem wam wszystko co wiem. — Onegdaj nad wieczorem siedziałem tam pod tym krzyżem ot tak jak dzisiaj, i spiewałem sobie na chwałę Bożą zwykłe pieśni, aż tu turkot jakiś i tentent koni z daleka słyszałem, i wkrótce potém sześciokonna kolasa, przejechała do zamku. Sam kniaź Dymitr jechał konno koło kolasy, a poznałem go zaraz, bo nieraz dawał mi jałmużnę, a potém że jechał na swoim koniu na którym nikt inny nie jeździ. Zaraz mnie to zadziwiło, a człowiek też tam bywał dawniéj na świecie, i dosyć jest jeszcze ciekawy. Na drugi dzień rano poszedłem do zamku, bo tam nieraz chodzę po orędziu i znają mię sługi, ba! nawet ze starym hajdukiem kniazia jegomości służyłem w wojsku. — Wszystko było spokojnie na zamku, tylko służba cała była w barwie nowéj i w oknie ujrzałem gład-

ką panię. Dopiero słudzy powiedzieli mi, że to z Ostroga wrócili, że tam się pan ich ożenił, że z tamtąd przywieźli księżnę. — Ale to nie koniec jeszcze mój panie, już miałem wychodzić z zamku, aż w tém na dziedzińcu opadły mię psy księcia Dymitra, ja się bronił i wołał, a te mię szarpały coraz bardziéj; jak to zobaczyła księżna jéjmość, zbiegła na dół i wołając na służbę wysłała kilku na mój ratunek, potém przyszła do mnie i pytała, czy mi co złego psy nie zrobiły i dając jałmużnę, kazała mi się modlić za Stanisława. Oj piękna to piękna pani powiadam wam panie rycerzu, bom się na nią patrzał ciągle, jak do mnie mówiła i byłbym się tak patrzał, Bóg wie dokąd, a jak odeszła tom jeszcze patrzał za nią, bo też to anioł z nieba, taka dobra i ładna."

„A więc to ona," mówił rycerz po chwili milczenia, — więc to ona. Na, masz przyjacielu módl się o szczęście Elżbiety i za duszę Stanisława...." — I tak mówiąc podał nową jałmużnę kalece i wsiadłszy na konia pognał w przeciwną od zamku stronę i wkrótce znikł z oczu żebraka.

W tym widzę dzikim świecie, wiatr pociechę wodzi,
A ledwo witać zdążysz — żegnać się przychodzi.
Marja Malczewskiego.

Minęła zima i wiosennem tchnieniem odżyła znowu uśpiona przyroda, stopniały śniegi, powschodziły kwiatki, wróciły z dala wędrowne ptaszęta, śpiewały głośno radośne piosenki, rodzinne swoje witając krzewiny, i trzepotały wesoło skrzydłami, poznawając miejsce swojego gniazdeczka. Smutnie patrzała na nie księżna na Bracławiu, bo ona wrócić nie mogła z rodzinne ustronie, bo ona wrócić nie mogła z krainę nadziei; wiecznie z niéj wygnana, nigdzie jéj chęci nie ulatywały, nigdzie śmętne westchnienia szczęścia nie szukały. Nie było dla niéj wiosny na pochmurnem niebie, nie było gwiazd pociechy wśród posępnéj nocy, jedna tylko maleńka, zaledwie dojrzana świeciła mdłym promieniem, wśród czarnych wiszarów. Był to obraz kochanka, który wśród dni smętnych nie spuszczał na chwilę utęsknionéj duszy, lecz jakaż nadzieja obok myśli o nim, żadna, bo serce, które jemu księżna poświęciła, nie pytało o nie, bo dlań czucie to było życiem i życia warunkiem. Smutek jéj ciągły-zwolna oddalił od niéj księcia Dymitra: poznał on, że na téj duszy leży ciężar cierpień i zostawił ją samotną, sądząc, że czas uleczyć chore serce zdoła, że zatrze w pamięci wspomnienie przeszłości i jemu kiedyś przychylność jéj odda. A potém burza wielka gotowała się nad głową kniazia Dymitra; księżna Ostrogska niepomna, że jéj córka wiecznie już imie jego nosiła, o pomstę za porwanie Halszki swéj wołała. Liczni krewni Ostrogskich i Kościeleckich rodu zbierali się rzecz tę zanieść przed tron królewski na sejm, mający się zebrać w Krakowie. Niespokojna niewiasta jeździła do wszystkich, błagała, prosiła, by popierali jéj sprawę i przykładną karę u króla jegomości wyjednali. — Tak minęła wiosna i lato nastało, kniaź Dymitr też myślał o swojéj obronie i wezwany na zamek bracławski kniaź Wasil, w komnacie Dymitra zasiadł z nim na radę. — Rozłożone papiery, na obszernym leżały stole, a kniaź Ostrowski przeczytawszy je, wstał, pochodził po komnacie, i znów usiadł na bogatém krześle.

„No," mówił wreszcie do towarzysza — „już ja widzę, że tę babę czart opętał, że też to nie może się uspokoić, innaby cicho siedziała, kontenta, że się zbyła kłopotu, i dziękowałaby Bogu za taki los swéj córki! a ta jeszcze chce czegoś, sama nie wie czego; — zemsty? a za co? za to, że jéj córkę zrobili księżną Sanguszkową?.... Jak mi Bóg miły, jabym ją kazał skąpać w zimnéj wodzie, bo ona musi być szalona."

„Z tém wszystkiém kniaziu Wasilu, trza nam myśleć o obronie, bo księżna Ostrogska ma wpływy niemałe, a ci panowie koronni gotowi przeciwko mnie się zawziąść; żeby tylko nasi litewscy panowie na czas się wybrali, albo co, kniaziu Wasilu, gdybym ja też sam stanął w swojéj obronie?!"

„A to na co! lepiéj pokażcie, jak mało cenicie sobie księżnéj Ostrogskiéj zamachy, a potém dopieroby baba krzyczała, jakby was zobaczyła. Oto, kniaziu Dymitrze, poruczcie Odachowskiemu waszą sprawę, on szlachcic litewskiego rodu, z duszy wam oddany, a do tego nie źle uczony i wymowny bardzo."

„Usłucham waszéj rady kniaziu, i zaraz dziś jeszcze sam pojadę do Odachowskiego i przedłożę mu rzecz całą."

„A jeżeliby król żądał widzieć księżnę Sanguszkową a waszę małżonkę, i zapytał, ażali jest za wami Dymitrze?"

„Ani wątpię — smutek jéj ma inną jakąś tajemną przyczynę, nie zaś związki ze mną ślubne. Szanuję go, o powody nie badam, mam jednak nadzieję, że Halszka oceni z czasem moje serce, i pozna, że jéj godny jestem."

„To dobre zawsze dziewcze było, ale o co ona smutna Dymitrze, czy ma jakie miłostki? ale z kim, kiedy prawie nikogo nie znała, i żyła w Ostrogu jak za kratą w klasztorze! Może też to skutek choroby, toć to przejdzie z czasem, zobaczycie kniaziu."

„Daj Boże, by wasze przepowiednie prędko się ziściły, pragnę tego z serca kniaziu Wasilu, bo szczerze miłuję Halszkę i z duszy radbym, by była szczęśliwa ze mną.“

„Da to Bóg, Dymitrze, jeszcze ona kiedyś mi podziękuje, że jéj dałem tak zacnego małżonka. Wszakże to jeszcze pisklę, Bóg wie czém tam głowę ma nabitą, jak przyjdzie do lepszego rozumu, to jéj te smutki wywietrzeją z głowy. — Ja też nigdy ani na chwilę nie żałowałem, żem wam ją dał za żonę, bo co raz kniaź Wasil zrobi, tego nigdy nie żałuje. Żeby tylko ta stara nie bróździła; co też to nie dokazywało licho, jakeśmy po Halszkę zajechali, rzucała się jak opętana, trza było gwałtem przytrzymać ją w komnacie, kiedyśmy poszli do ślubu. I to dziewczę też zaczęło wydziwiać, mdleć, ale jak widziała że to nie żart.... Powiadam wam Dymitrze, że ja, co się nie boję niczego w świecie, nie chciałbym drugi raz takiéj wojny z babami toczyć.... Ale dajmy temu pokój: wy kniaziu jedźcie do Odachowskiego, powiedzcie mu wszystko jak było, niech się tylko dobrze stawi, i dobrze im nagada. A teraz bądźcie zdrowi, niech was Bóg ma w swojéj opiece.“

Pojechał Dymitr, a dnia drugiego posłannik księżnéj Ostrogskiéj od matki do córki przyjechał. Pierwszy to raz poselstwo takowe na zamek bracławski przybyło, i wraz wpuszczon w dziedziniec, gdy konia sługom oddał, na komnatę księżnéj zawezwany został.... Wszedł posłannik i pokornie przy drzwiach zajął miejsce; musiał to być nieśmiały i nowotny sługa, bo oczy w dół spuścił i drżał mimowolnie, bo znać to było po czapce, którą w ręku trzymał; snadź i on jakiś chory na ciele czy duszy, bo twarz jego młoda boleścią okryta i zmarszczki przedwczesne na młodzieńczém czole; może on niezwykły trudów długiéj drogi, lub czyby to smutek tak czoło poorał? Spojrzała nań księżna, twarz swą w dłonie skryła i zadrżała biedna.

„Czy cień Stanisława?“

Zbliżył się młodzieniec, czarne oko na drogiéj kochance spoczęło i milczał patrząc się na nię, jakby własnym nie wierzył oczom, jakby wątpił jeszcze, czy to Halszkę widzi przed sobą, nareszcie cichym wyrzekł do niéj głosem:

„Halszko, Halszko, odsłoń twe lica, twe oczy, — czyż mnie nawet i widzieć już nie chcesz?“

„O Stanisławie!“ z westchnieniem wyrzekła, i smętne oko w bladą twarz wlepiła.

„Tak, Halszko, ja to jestem, ja biedny, nieszczęśliwy tułacz, wędrowiec wyrwany z rąk śmierci, by ciebie choć raz jeszcze oglądać, by spytać się ciebie, czy szczęśliwą jesteś.“

„Szczęśliwa! O Stanisławie, powtórz raz jeszcze to słowo szczęśliwa, ja już zapomniałam, że słowo szczęście jest jeszcze na świecie, zapomniałam nawet, jak się to wymawia. Nie pytaj więc Stanisławie, czym ja jest szczęśliwa — patrz, co się to porobiło z twoją nadzieją, z nadzieją szczęścia wspólnego. O Stanisławie! ileż to łez ja wylałam, ileż dni smutnych przeżyłam od owéj chwili!“

„A więc na cóż się zdało rozłączenie nasze, kiedy oboje nieszczęśliwi, biedni, udręczeni, łzami życie nasze oblewamy, i po toż na świat Bóg nas tu zawezwał? O Halszko! los mój byłby niczém dla mnie, gdybym mógł twoje zmienić przeznaczenie!“

„Nie narzekaj Stanisławie, nie pragnij dla mnie zmiany. Patrz, równie jak ty sierota samotna, nie mam nikogo na tym wielkim świecie, nikogo, coby pojął mój smutek, nikogo, coby zrozumiał mą duszę, a jednak nie narzekam, nie szemrzę. Bóg i modlitwy są mi pociechą, i pociechą myśl ta, że twoje serce nie opuści biednéj, że nie zapomnisz mię nigdy. O Stanisławie! nie maszże drugiego życia, gdzie nas już nic nie rozdzieli, gdzie wiecznie z sobą będziemy?“

„Wiecznie! Halszko moja, smutna to jest pociecha dla tego, co ciebie tak jak ja ukochał, i co tak długo cieszył się nadzieją posiadania ciebie. Tak, tak Halszko... gdym wyjechał z zamku twoich ojców, myśli o sławie, o wielkiém imieniu, cieszyły mię i wspierały w rozpaczy. Myślałem sobie, że jak się sławą okryję, to wrócę do Ostroga i już nie sługa, ale bohater żądać cię będzie za żonę. Nie myślałem, jak dobiję się sławy, dość mi było téj nadziei, by życie moje zachować. Odbyłem poselstwo matki twéj w Warszawie i opatrzony listem właśnie jechałem do Bracławia przyjąć służbę wojskową w Dymitra chorągwi. W stolicy nie wiedziano o twojém zamęściu, dopiero niedaleko zamku bracławskiego żebrak jakiś powiedział mi, że ciebie pojął książę Sanguszko za żonę. Wieść ta do rozpaczy mnie przywiodła, wszystkie zamiary z méj duszy spłoszyła — umrzeć tylko pragnąłem, i w pierwszéj umyśliłem utonąć rzece. Ja nie wiem, czy anioł opiekun, czy czart cieszący się z ludzkiéj niedoli, wrócił mi życie. Ujrzałem obok siebie księdza, prawił mi o Bogu, o religii, o karach na samobójców, o tych którym życie moje może być nie obojętne, i przeląkłem się o ciebie i żyłem nadzieją ujrzenia cię znowu. Ta nadzieja zatrzymała mnie przy życiu. Pobiegłem na zamek twych przodków, obiegłem komnaty przypominające mi dawne szczę-

ście, — ściany, portrety, sprzęty, przemówiły do mnie tą niewymowną rzewliwością, którą dusza uczuć, lecz wymówić nie jest zdolna. Twoja Hanna przyjęła mnie ze łzami w oczach, była to istota najwymowniejsza w tym zamku, ona wiedziała nasze wszystkie tajemnice, żyła szczęściem naszém, a teraz smutkiem stérana, kochana Hanna, nadwątlała zdrowiem, opowiedziała mi wszystkie przygody życia na tym zamku. Płakaliśmy i rozpaczaliśmy na przemian. Bo jaka nadzieja, jaka przyszłość! Śmierć w innych razach tyle straszliwa, tu mi powtórnie zabłysła w miejsce najpowabniejszéj nadziei. Śmierć...“

„Nie mów o śmierci, o samobójstwie, Stanisławie, nie powiększaj moich boleści, czyż już nie dosyć nieszczęścia? patrz na twarz moją, ile wycierpiałam, aleś i ty wiele wycierpiał i tyś blady i cierpiący. — A jednak ja chcę, byś ty żył, byś żył dopóty, póki ja żyć będę; ja chcę, byś mi przyrzekł, że życie twoje świętém dla ciebie będzie, że będziesz je uważał jako moją własność i szanować przed własną rozpaczą. Czyż ja mniéj biedna od ciebie? a jednak szanuję wolę Bożą, ja płaczę, ale nie szemrzę, jam smutna, ale żyję. I Dymitr szanuje mój smutek, me łzy, a ty Stanisławie chciałżebyś je powiększyć?“

„O nie, nie, Halszko, ja wszystko uczynię, co żądasz. Nie płacz, nie rozpaczaj, bo łez twoich znieść nie potrafię. — Słuchaj, ja teraz oddalić się muszę. Bóg wie, kiedy się zobaczymy, lecz myśl moja, moje uczucia przy tobie zostaną, czuwać nad tobą nieustannie będę, nad tobą Halszko i nad tymi nawet, co mi cię wydarli. Kto wie, co nas jeszcze czeka, lecz cokolwiek się stanie, pamiętaj, że ci zawsze wiernym pozostanę.“

Oh! zabierz mnie z sobą.
Marja Malczewskiego.

Smutno w zamku Dymitrowym, bo los książęcia w stolicy się rozstrzygał, a księciu nie na rękę te sądy. Dwaj jeźdźcy wbiegli na zamkowy dziedziniec, konie pianą spryskane, świadczyły pośpiech przybyszów. Jeden z nich był dworzanin kniazia Sanguszki, ten sam, co niegdyś jeździł do Ostroga, raz ostatni o rękę księżniczki upraszać.

»Co tam waść przynosisz?» mówił doń Dymitr, gdy wszedł do komnaty.

»Nic dobrego, miłościwy kniaziu, jeszcze tam radzili, gdym stolicę opuścił, ale tam mówiono, że źle z waszą sprawą.«

»A Odachowski co na to, a panowie litewscy?«

»Pan Odachowski, doskonale was bronił miłościwy kniaziu, i stawiał się dobrze naprzeciw panu Czarnkowskiemu, co rzecz wiódł od księżnéj Ostrogskiéj, ale go zagłuszyli panowie szlachta z korony, bo ich tam jak maku, a naszych panów z Litwy to tam ledwie znać między nimi: a księżna Ostrogska to z przeproszeniem waszém miłościwy kniaziu czart a nie kobieta, to lata od rana do nocy, a prosi wszystkich, by tylko się pomścili za nią, a płacze, jakby jéj się Bóg wie co stało. Miłościwy kniaziu, jabym jéj do licha oddał tę córkę, co o nią takie wodzi korowody.«

»Mów waść z większém uszanowaniem o małżonce swego pana, cokolwiek się stanie, kniaź Dymitr nieżałuje tego, co zrobił, ani odrobić tego pragnie. Księżniczka Halszka jest moją żoną i chyba z życiem praw mych do niéj ustąpię.«

»Wybaczcie staremu słudze, miłościwy kniaziu, ale mnie się serce kraje, jak sobie pomyślę, że ztąd coś złego dla was wyniknie, i Bóg widzi, że chętnie oddałbym to stare życie za jeden włos z waszéj głowy.«

»Dziękuję ci stary za twoję przychylność. Bóg też może da jeszcze, że wszystkie obawy i zamachy moich nieprzyjaciół wniwecz się obrócą, a król uzna moję niewinność i zostawi mię w pokoju. Ale kto to z tobą przyjechał? nie znan mi ani koń, ani jeździec.“

„I mnie nie wiele znajomy miłościwy kniaziu, ale to jakiś chwat chłopak. Na pół drogi ze stolicy do Bracławia spotkałem go w gospodzie: jak usłyszał, że ja jadę tutaj, przyszedł do mnie i powiedział, że i on jedzie także do Bracławia, że w stolicy mówiono, iż wasza sprawa miłościwy kniaziu źle idzie i że on jechał nieść wam swoje służby. — Zrazu nie wiedziałem co robić, bo wynędzniałe chłopczysko zdawało mi się, że zemrze gdzie w drodze, ale on jakby odgadł moje myśli, powiedział, że chociaż nędznie wygląda, to zdrów jest i silny i zdatny do wszelakiéj służby. Zabrałem go przeto z sobą. W drodze jechał ciągle ze mną, ale ledwie się na nim można było słowa dogadać — i ja też milczałem, bo mi ciągle wasza sprawa w stolicy w głowie majaczyła.“

„Dobrze zrobiłeś waść, żeś wziął z sobą tego młodziana, musi to być jakiś biedak, sierota, a przytém nieszczęśliwy, kiedy chce temu służyć, kogo fortuna prześladuje; niech się zostanie. — Idź waść wypocząć.“

Księżna modliła się w swéj komnacie, a modliła się gorąco, bo chociaż ciemnawo, dostrzedz można było łzę w jéj oku. Wszedł kniaź, ona spojrzała i wstała od modlitwy.

„Módl się Halszko," rzekł do niéj Sanguszko — „módl się, ja zaczekam, ale w twoich modłach pomnij i o mnie, bo i ja potrzebuję od Boga pomocy."

„Książę! czy jakie nieszczęście was spotkało?! ja się modlę co dnia za was, by Bóg wam wszystko dobre użyczał."

„Ty się modlisz za mnie Halszko! więc chociaż czasami myślisz o mnie...."

Zamilkł na chwilę, mrok wieczorny padał na bladą twarz księżnéj, a u długich rzęsów czysta łezka zawisła; patrzał na nią kniaź Dymitr, oko jego smętném czuciem zaćmione chciało zajrzeć w głąb téj duszy, odgadnąć myśli ukochanéj Halszki, to znów spuścił oczy na dół i oparłszy głowę swą na ręku, dumał głęboko w myślach zatopiony.

„Księżno," mówił wreszcie do niéj — „próżno ukrywać przed tobą grożące mi niebezpieczeństwo. Matka twoja przed tron zaniosła swe skargi, kto wie, jaki mi los zgotują. Dzisiaj właśnie doniesiono mi, że sprawa moja zły obrót brać poczyna. Sam nie wiem, co mię spotkać może; może mi wypadnie na czas jakiś porzucić mój zamek, może i ojczyznę. — Cóż ty Halszko zrobisz naonczas? zechceszże dzielić los biedny tułacza? powiedz mi księżno, może zapragniesz za Ostrogskich grodem, może tutaj pozostać zechcesz?"

„Kniaziu, ja z wami dzielić losy będę... Więc to dla mnie i przezemnie wy nieszczęśliwym być macie? Ja was nie opuszczę kniaziu Dymitrze."

„Ty ze mną Halszko, ty mnie nie odstąpisz!? Rozważ te słowa Halszko, bo może kiedyś pożałujesz, gdy zażądam téj dobrowolnéj ofiary twojéj."

„Nie lękajcie się kniaziu zmiany mojéj, ani zapragnę zwrotu obietnicy, ani wyrzeczonych słów nie pożałuję: nie było wprawdzie zamiarem moim, oddawać wam ręki mojéj, raz jednak węzłem nierozerwanym z wami połączona, nie zapomnę nigdy o obowiązkach moich. Pójdę z wami wszędzie, i jeżeli w mocy mojéj osładzać wam los gorzki, najchętniéj dopełnię obowiązku tego."

„Nie płacz Halszko, może to wszystko Bóg odwrócić raczy, módl się tylko do niego, a on próśb anioła nie odrzuci pewno."

(Dokończenie nastąpi.)

O emancypowaniu się stósunków familijnych.

(Ciąg dalszy.)

1. *Stósunek żony do męża.*

Nie mamy dotąd dostatecznie opracowanéj historyi niewiast, a aż do Wilhelma Alexandra Anglika (dzieje rodu żeńskiego r. 1780.) nikomu nawet na myśl nie przyszło, aby się warto było w tym względzie zająć kobietą, acz z niéj druga połowa plemienia ludzkiege złożona. Najwidowniejszy dowód dumnéj przewagi mężczyzn po wszystkie wieki i lekceważenia stanowiska niewieściego. Nie ma więc zgody na to, w jakim stósunku początkowie stanęła w ogólności kobieta do mężczyzny, a w szczególności żona do męża. Ci, co tłómaczą kosmaganią biblijną, uważają, że nie z głowy Adama utworzył mu Bóg towarzyszkę życia, by nad nim nie przewodziła; ni ją z nóg jego zbudował, by wzajem i ona nie była tylko podnóżkiem stóp jego; ale z żebra ją wyjął, nadając jéj przez to środkujące między rządem a niewolą stanowisko. Być może, że ta myśl leży w powieści mojżeszowéj. Byłoby to jednak stanowisko, którego dziś dopiero kobieta używa, a jakiego jeszcze w starym zakonie nie było przy wielożeństwie i owym znanym liście rozwodowym, który mąż mógł dać żonie, kiedy jéj się chciał pozbyć.

Wielu utrzymuje, iż pierwotnie równość zupełna zachodziła między małżonkami, bo do téj równości przypuszczała żonę miłość męża, i historya dochowała nam imiona i czyny wielkich i sławionych niewiast. Twierdzenie takowe jest pozorne. Jak silniejszy i wojenny lud strzelców i górali, na początku narodów ujarzmiał i hołdował bezbronnych pasterzy i spokojnych mieszkańców równin; tak mąż prawem mocniejszego podbił sobie słabszą niewiastę. Jeżeli ją kochał i od szwanku nie raz życiem własném zasłaniał, miłował ją i bronił, taką tylko miłością, jaką ogarniał wszystko, co nazywał swoje, jak przywiązany był do broni swojéj, do konia, do służebnego. W surowości obyczajów leży despotyzm egoizmu, nie cierpiący nic równego obok siebie. Jeżeli zaś Herkules uległ Omfalii, Jakób lat czternaście Rahelę wysługiwał, Semiramis, Dido, Kleopatra nie tylko sercami mężów, ale i nad nimi samymi władały, dowodzi to jedynie, że siła wdzięków kobiety, byle się na niéj poznać umiała, zawsze i wszędzie nad materyalną siłą mężczyzn odnosiła zwycięztwo. Jak dziś tak i dawniéj były niewiasty silnéj woli, wielkiego usposobienia

i przyrodzoną sobie bronią, władzą wdzięków, wytrącały berło z silnéj dłoni męża, owładły miłością, i jak lwa oglaskanego wodziły po woli swojéj. Tą siłą złudzony legł Holofernes od miecza Judity, i w dwadzieścia i pięć wieków później, Marat padł na podobny sposób z ręki niewieściéj. Szał miłości, na co się co dzień patrzymy, dziwy wyrabia, bo wywraca porządek rzeczy; powaga wielka dziecinnieje i smieszną się stawa, powaga urzędu, znaczenia, wychodzi z swéj roli, i na bok obowiązki i godła dostojeństwa swego odkłada: w starożytności sami bogowie dla pięknych cór ziemi ludźmi się stawali i mieszkańce swobodnego Olimpu ludzkie podejmowali trudy. Jako dziś jeszcze rozmiłowany Turczyn wzdycha u nóg Odaliski, tak i w najdawniejszych rymotwórcach Persów, Indyan, Chińczyków przebiera się i kipi płomienna miłość młodziana wyrażona w całym przepychu farb i obrazów poezyi wschodniéj. W poezyi więc po wszystkie czasy przez tryumf piękności emancypowana, bo zidealizowana występuje niewiasta, urokiem wdzięku szląca pod drobne stopy swoje berła i miecze i całe roje mężczyzn.

Ależ byłaż taka poezya w rzeczywistości? albo, co się czyniło w zamgle miłosnego szału, czyniłoż się dla kobiety jako dla kobiety? Inaksza była ogólna postać rzeczy.

W surowym stanie społeczeństwa kobieta i żona uważana była jako rzecz, któréj dla tego tyle mieć można, ile się podoba. Ta cecha rzeczowości, to upodlenie człowieczeństwa w kobiecie leży w wielożeństwie, które dziś jeszcze na całym wschodzie panuje. Kupowanie więc sobie żon, wchodzenie w targi z rodzicami o córki, jest koniecznem takiego pojęcia następstwem. Żona kupuje się jako towar. I tak w Chinach rodzice sprzedają córkę na żonę; muszą ją kupującemu opisać, ile ma lat, jakiego jest kształtu, jakiego wychowania, czy jest rodzonem dzieckiem, czy przybraném i t. p. Po czém godzą się na cenę, a na przypadek niedotrzymania kontraktu, stanowią karę na pewną ilość kii bambusowych. Po zawarciu kupna widzą się małżonkowie po raz pierwszy przy wieczerzy, i jeżeli się sobie nie podobają, jeszcze się rozejść mogą, poddając się nałożonéj karze. Mężowi wolno kupić sobie więcéj żon, ale z tych prawo nakazuje wybrać jednę na pierwszą małżonkę, którą i dzieci z innych żon zrodzone matką mianować muszą. Tu się więc pokazuje pierwszy stopień emancypacyi żony: zbliżenie poligamii do monogamii, przez wyniesienie z haremu jednéj tylko niewiasty do praw macierzyństwa. Swobody takiéj żony są znaczne. Nie wolno mężowi upośledzać ją przed żonami drugiego rzędu, jéj dzieci mają tylko prawo spadku po ojcu, a w przypadku owdowienia bez własnéj woli nie może być sprzedaną innemu, gdy tymczasem żony drugiego rzędu, ile że tańsze od dziewic, rozkupuje, kto ma ochotę. Równie i to już jest, lubo słabą, emancypacyą małżeńskiego stósunku, że nie wolno według upodobania zbywać się mężowi żony, jak u innych dzikich narodów; ale rozwód z nią prawami tylko w następujących ośmiu przypadkach dozwolony: 1) w razie niepłodności, 2) nieschlujności, 3) nieszanowania krewnych mężowskich, 4) gadatliwości, 5) skłonności do kradzieży, 6) zazdrosnego umysłu, 7) niewierności, 8) nieprzełamanego wstrętu z strony męża. Nie tylko więc nie służy żonom w Chinach prawo rozwodu, ale nadto jeszcze najdowolniejsze mężom zostawione pole zbycia się swoich małżonek.

Indya jest kolebką narodów. Tu téż utrzymał się zwyczaj, którego po dziś dzień jeszcze Anglicy do szczętu wytępić nie mogą, to jest, że z śmiercią męża umierać powinna i żona, i żywcem wraz z zwłokami jego na jednym stosie spalić. Dochodząc powodu tak okropnéj ofiary, żlebyśmy ją kładli w nieograniczonéj miłości żony do męża, jakby jéj żywot tak ściśle spojony był z żywotem małżonka, iż się życie od życia rozerwać nie da, i żona idzie i po za śmierć towarzyszyć mężowi. Metempsychosis indyjska i niewolnicze obchodzenie się męża z żoną w czasie pożycia stoją na przeszkodzie takiemu rozumieniu. Jest to raczéj zabytek najodleglejszych czasów, w których kobieta uważaną była za własność w znaczeniu rzeczowém. Jak późniéj dawano w grób mężowi, do czego za życia z rzeczy swoich był przywiązany, tak przy paleniu zwłok spalono z nim też same przedmioty, palono i żonę. Uświęcenie tego zwyczaju dogmem religii mogło być dość wcześnie, gdy się już prawne wyobrażenia rozwijać zaczęły; takie poniżenie żony na rzecz surowością raziło. Późniejsze ustawy indyjskie, nie znosząc wielożeństwa, przywięzują jednak prawo pobierania wielu żon do pewnych warunków. Mianowicie, że żona z równéj kasty ma prawo pierwszeństwa, i dopiero po niéj wolno mężowi pojąć niewiasty na żony z kast pośledniejszych. Ustawodawstwo karne miesza się w stósunki familijne na przypadek zakłóceń, niewierności i dowolnemu opuszczaniu żony położona tama. Indyanie rozróżniają ośm gatunków małżeństw, według tego, za kogo kobieta idzie, i z jakich pobudek. Do małżeństw, które uważają się za nieszczęśliwe, i którym ojciec błogosławieństwa odmawia, liczą się i te, jeżeli się małżonkowie z przy-

wiązania do siebie pobrali, co jest cechującém znamieniem upodlenia ślubów indyjskich. Dwie krowy jest zwyczajny i godziwy okup za żonę, który się składa jéj ojcu przez męża. Wyższy okup bywa dowodem zbytniéj skłonności serca, którą religia Bramy potępia, bo żona tylko jest rzeczą. Jeżeli tak w Chinach, jak w Indyi niedozwolony incest, czyli małżeństwo między krewnymi aż do 6go stopnia, wypłynęło z tego samego wyobrażenia. Krewni bliżéj stoją siebie, jak żeby jedno mogło być uważane jako rzeczowa własność drugiego. Samo zatém pokrewieństwo ratuje jeszcze godność kobiety jako kobiety.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O ważności ćwiczenia ciała płci żeńskiéj.

Jakkolwiek płeć żeńska wielu w dzisiejszych czasach ma troskliwych opiekunów, którzyby dla niéj równe prawa i to samo, co płci męzkiéj powołanie w życiu społecznėm wywalczyć usiłowali, przyrodzenie jednak, i li tylko przyrodzenie naznaczyło jéj życie całkiém inne, bo więcéj spokojne i domowe. Za prawdziwością zdania tego przemawia wyraźnie tak ustrój (organizm) niewieści, jako też owa uderzająca sprzeczność wszystkich jéj zarysów z wyobrażeniem o silnych i gwałtownych poruszeniach ciała, i owa już w latach niemowlęcych odzywająca się skłonność do tych tylko zabaw i zatrudnień, które ani sił znaczniejszych nie wymagają, ani męczą.

Aleć w przyrodzeniu wszystko ma zadziwiającym sposobem swoje naznaczone granice, po za któremi zrazu pewien niedostatek, późniéj zupełna zaguba nas czeka. Pomimo to rodzaj ludzki, choć codzień na odwieczne prawa natury zapatrujący się, przecież ciągle jednostronnie tylko takowym odpowiada.

Tak przynajmniéj dzieje się z wychowaniem młodzieży, bo według potrzeb krajowych i powziętych zasad albo tylko ciało, albo samą tylko duszę dotąd kształcono. Dawniejsze narody bowiem, Spartanie np., pragnąc samych tylko silnych i zdrowych obrońców ojczyzny, uważały niewiastę ku temu tylko celowi stworzoną, aby potomstwo mocne i własną piersią karmione dostarczała. Dla tego też kazano jéj zarówno z młodzieńcami brać udział w ćwiczeniach miarę przechodzących, w ćwiczeniach prawdziwie atletycznych. W naszych czasach zaś, pokochawszy samego tylko ducha, z równoczesném zapomnieniem ciała, samego też tylko ducha kształcić uwzięli się, i przykuli młodzież płci obojéj dnie całe, miesiące, lata nawet, do ław i murów, często z odmówieniem nawet nocnego spoczynku.

Takowy sposób wychowania czyż nie jest jawném pokrzywdzeniem praw odwiecznych? Wszakże do istoty człowieka jako człowieka, również duch jego jak i ciało należy. Wszakże jedna i druga połowa istności jego od pierwszych początków niemowlęctwa coraz to bardziéj się kształci, dojrzewa i równą skłonność do doskonałości pokazuje. Dla czegoż więc kosztem jednéj drugą tylko brać w opiekę swoję? Cóż znaczy ów duch wielki w ciele zmitrężonem, z każdą chwilą do mogiły powalić się mającém; co naodwrót ciało atlety, jakby lwa jakiego, bez obudzonych i dojrzałych władz umysłowych?

Pojmuję, że mi na zarzut ten wielcy miłośnicy dzisiejszego wychowania dzieci, których niewinna i naturalna swawola, li tylko z niezatraconéj jeszcze czerstwości ciała pochodząca, jako nieuków i wyrodki rodzaju ludzkiego w oczach tychże opiekunów piętnuje, jednogłośnie odrzekną: «wszakże młodzież nasza na przechadzki chodzi i tańczyć się uczy!» — Prawda! Ale jakże dalekiemi od kształcenia ciała są owe mniemane przechadzki, a raczéj powiem owe wolne i obrachowane kroki, do których troskliwe matki córeczki swoje, a uczone guwernantki powierzone im dzieci od czasu do czasu zmuszają, a one pobladłą swą cerą i wymuszoną kibicią tak jawnie pokazują, że są prawdziwemi ofiarami uprzedzeń naszych? — Taniec zaś, któryby bez wątpienia najstósowniejszém był ćwiczeniem dla ciała, aby je do rozwinienia się należytego doprowadził, gdyby się równał tańcom przodków naszych, jest dziś niestety więcéj skłonnym do osłabiania, niż wzmacniania organów naszych. Przy szybkiem bowiem poruszaniu nóg reszta ciała, osobliwie piersi, tylokrotnie do zbytku sznurówkami ściągnięte, w zupełnym spoczynku zostają; a tańce same po większéj części tylko odmierzoném, taktowém przebieraniem nóg się stały z ustawicznem obracaniem ciała w koło. Ile wreszcie takowe ćwiczenia ciała w pokojach ogrzanych i zwykle widzami i współuczestnikami balowymi przepełnionych, przy siłach zwątlonych, do siedzenia tylko przywykłych, są zdrowiu pomocnemi, najlepiéj przemawiają za tem liczne ofiary młodych mężatek i córek dorosłych.

Stan zaś ten nieczynności ciała, ciągłego spoczynku i klasztornego więzienia, na jaki panienki nasze każdego stanu bez litości są wskazane, wstrzymuje oczywiście rozwinienie się należyte organów, nie pozwala wykształcić się owym cudnym zary-

(Dodatek.)

som, jakie dłuto rzeźbiarzy greckich, kopią tylko natury przedstawiające, dla wiecznéj pamiątki i jakby przykładu zostawiło; a rodzi natomiast owe osłabienie nerwów, dla którego każde zadraśnienie umysłowe kurcze i spazmy sprawia, owę lekkość umysłu i małoduszność, która wiele z nich w przeciwnościach najnieszczęśliwszemi czyni. Zwątlenie muszkułów daléj, bladość, nabrzmiałość, liczne w rodzaju swoim słabości nerwowe, niemoc karmienia własnego dziecięcia i ułomność wszelkiego rodzaju są co dzień powtarzającemi się skutkami obecnego wychowywania dzieci, osobliwie płci żeńskiéj.

Wprawdzie są to rzeczy najlepiéj lekarzom tylko znane, ale niechajże matki i troskliwe nauczycielki uwierzą im, że takie tylko są skutki nieczynności ciała całkiem zaniedbanego. Anatom szukający muszkułów głosowych wybiera do tego śpiewaka a nie głuchoniemych, bo u pierwszych tylko są też narzędzia głosu najlepiéj wyrobione. Podobnie dzieje się z resztą muszkułów, iż nieczynne coraz to więcéj od właściwego sobie układu odchodzą, słabieją, a mniejsze prawie całkiem nikną. Przez ciągłe gniecenie piersi to oparciem się o stoły lub krosna, to nagięciem ciała przy robotach ręcznych, płuca nader ścieśnione nie dostatecznie oddychają, nie dostatecznie też krwi obieg się odbywa, a z nim i reszta funkcyi organicznych. Pochyłość zaś ciała po kilka godzin w jednym kierunku zostająca i codzień się powtarzająca, pociąga za sobą koniecznie stałe skrzywienie kibici. Zresztą o coraz bardziéj słabiejącém plemieniu ludzkiém przekonywają nas oczywiście częścią owe ciężkie rynsztunki przodków naszych, tu i owdzie w zbiorach przechowywane, częścią dziady nasze, którzy, porównywając czerstwość i siłę osób za ich młodzieńczego wieku żyjących, nie dość wydziwić się mogą dzisiejszéj zniewieściałości, niemocy, braku wytrwałości i zbyt częstéj ułomności wnucząt swoich. *(Dokończenie nastąpi.)*

WIKTOR.

Improwizacya przez F. Ł.

Ja czyż nie zdołam zrównać się z tą bracią,
Co gardząc zwykłą człowieczą postacią
Biorą orle skrzydła,
I lecąc górą — piekielne straszydła! —
Sypią na zdumione głowy
Ogień ducha piorunowy?
Spróbuję, może i ja podołam,
I lecąc społem — »jam brat wasz!« — zawołam;
I osłonicie mię skrzydły waszemi,
I powitacie pieśnią — a czując w polocie
Swobodne wichry, i widząc gwiazd krocie:
Zrzeknę się ziemi!
Nie widzę siebie w téj chwili,
A przecie czuję, jak po mojéj twarzy
Biegają ognie przelotne,
I głowę mącą myśli zawrotne,
A z ciała spada wszelki kształt pyli;
I jak sokół poczynam błyskać źrenicami,
I machać skrzydłami,
I widzę, kędy mię skrzydła poniesą, —
One do nieba mię wzniesą!
I cóż! gdy wzlecę w podniebne sklepienia,
I tam uczuję roskosz powietrznego drzenia:
Albo w słońcu skrzydła spalę,
Albo trąciwszy głową o gwiazdy, — odbity
Najwyższemi niebios szczyty —
Na ziemię się zwalę!
Nie, ja nie wzlecę do nieba.
Ja byłem w niebie! mnie nieba nie trzeba.
Ja wzlecę, ale niżéj. — Stoję na obłokach,
Jak groźna chmura na wzniosłych opokach,
I wszystkie ognie rozlane po niebie
Wciągam w siebie,
Okrywam barki obłoku całunem,
I z nieba spadam — na ziemię — piorunem!
Witaj otchłani! okropny cieniu!
Ty piekielny ziemi rdzeniu!
Ha! ty ziemio krokodylu,
Żarłoczna paszczo szkieletów tylu!
Jam ichneumon, jam w tobie! — zginiesz! ja przewiercę
Wnętrzności twoje, i skąsam twe serce.
Przykładam zęby moje do rdzeni granitów,
Naginam je ku sobie wierzchołkami szczytów —
Trzeszczą ziobrzyste kości, — chwytam za warkocze
Harde rzeki, i w dłoni w jeden węzeł zbieram,
Potrząsam głową morza, ramiona otwieram,
Lewą stopą i prawém ramieniem rozparty
Ostatnie szczęty roztłoczę —
Giń ziemio! rozsyp się na cztery wiatry!

ROZMAITOŚCI.

Okropna kara. W St. Jean d'Acre miało następujące zajść zdarzenie, o którém wspominają gazety francuzkie. W końcu roku 1839. przybył młody, udatny Wenecyanin, nazwiskiem Luigi Palestrino, do St. Jean d'Acre i prosił kupca Ben Raiffa o umieszczenie w handlu. Stary Syryjczyk przyjął go chętnie i spodobał mu się dla zwinności i porządku. Dnia jednego wchodzi do pokoju chrześcijanina młoda Flamina, śliczna niewolnica, i opowiada o chłoście odebranéj w haremie, a na dowód okazuje krwawe ślady na ramionach swych, jak śnieg białych. Dodała przytém, że Ben Raiffa takich pięćdziesiąt niewolnic jak ona, chłostą ściga, i z chęcią poddałyby się temu, ktoby je od tych okrucieństw uwolnił. Luigi oczarowany pięknością młodéj niewolnicy, przyrzekł się zemścić. Nazajutrz w rzeczy saméj zamordował swego dobroczyńcę. Udał się

potém do haremu; niewolnice otoczyły młodziana, starając się każda ująć go dla siebie. Przez chwilę zapomniał o zbrodni i karze, ale wkrótce przypomina sobie, co go czeka i naradza się z niewolnicami nad środkami ocalenia. Flamina opowiada, iż jest prawo, nakazujące uwolnienie od kary śmierci zbrodniarza, jeżeli za nim umierający prosi Baszę z łoża śmiertelnego o przebaczenie. Wszystkie niewolnice stwierdzają te słowa. Flamina pokazuje prośbę taką do Baszy przez siebie napisaną, i zanim zdołano ją wstrzymać, przeszyła serce swoje sztyletem z poświęcenia i miłości ku Palestrinie. Wieść tymczasem o zabójstwie gruchnęła po mieście; Luigiego schwytano i skazano w skutek téj prośby do Baszy napisanéj, na dożywotnie więzienie w jaskini góry Karmel i na noszenie Ben Raiffa na plecach. Wyrok wykonano 2. Lipca. Po zdobyciu fortecy St. Jean d'Acre przed kilku miesiącami przez Anglików, znaleziono nieszczęśliwego Palestrina z zgniłym trupem na plecach, śród innych więźniów w jaskiniach Karmelu i wypuszczono na wolność. Lecz tak w tym krótkim czasie wyniszczał i wychudł, iż tylko cień dawnego pozostał. Płakał pięknéj Flaminy i wrócił z zbolałem sercem na statku angielskim do Wenecyi.

Pączki. Kasper Janicki, niegdyś obywatel warszawski, w swoich notatkach o zabawach karnawałowych tak pisze o pączkach, w Styczniu 1708. «Za teraźniejszego miłościwego panowania (Augusta II.) i do nas przywędrowała z zagranicznéj ziemi łakoć pączki. Moja babka Pisarzowa kończąca na gromnicę roczek 88my, nieraz mawiała, że pączki już były znane za jéj młodości, ale jakoś wyszły z zwyczaju, i jać wcale od mojéj infimy nic o nich nie wiedziałem. Dopiero od kilku lat pieką pączki w Warszawie nie tylko Oświecone i Wielmożne panie, ale już od świętych trzech króli aż do popielca każda nasza obywatelka musi mieć ten specjał, a któréj lepiéj udadzą się, te jakby jabłuszka, to ona mianuje się szczęśliwszą i mąż jest z lepszém sercem i weselszym humorem dla swéj jéjmości, jeżeli jéj uda się pieczywo, a broń Boże nie uda się, to pan bundziuczy, a pani w płacz. Przeszłego roku najlepiéj udawały się pączki u pani Senkowiczowéj na przeciw furty dominikańskiéj i tak bardzo, że doszło o tém aż do marszałka królewskiego, który chciał skosztować specjał z za nowomiejskiéj bramy; a skosztowawszy, przykazał swemu kuchmistrzowi, aby uczył się u Senkowiczowéj takowego pieczywa. Nasza Senkowiczowa rozchorowała się z radości i dostała z kredensu królewskiego tuzin flaszek pełnych soków specialnych robionych w Dreznie; na każdéj flaszce był herb królewski li malowany. Tego faworu zazdrościły sąsiadki, a i w tym roku tylko warszawianie gwarzą o pączkach Senkowiczowéj.

Wiadomo, iż Liepmann w Berlinie wynalazł druk olejnych obrazów. Podawano długo ten wynalazek w wątpliwość, lecz temi dniami przekonał Liepmann lubowników sztuk pięknych, których do siebie zaprosił, że wynalazek jego nie jest ułudą. Rozdał przytomnym płótna przygotowane do odcisków obrazu, pozwolił na nich umieścić nazwisko każdemu, a po ułożeniu któregokolwiek z nich w machinie, wydobywał w kilka minut obraz na niém Mierisa odciśnięty przez młodą pomocniczkę swoją. Rysy i cienie coraz więcéj występowały, im częściéj powtarzał odciśnienia w machinie, tak iż nakoniec zupełną wykończył kopią owego portretu, któréj jeno niedostawało połysku i jasnych barw, podobnie jak u obrazów pędzlem wykonanych. Właśnie obraz ten sławnym jest ze swéj karnacyi i gry cieniów, i to było powodem do wybrania go do przedruku; niemniéj chciał dowieść, że obrazy i w małych wymiarach dadzą się podobnie przenosić, jak obraz Rembranda. Przychód za ten ostatni obraz przeznaczył Liepmann na wydoskonalenie i powiększenie swéj machiny; — spodziewać się należy, że dłużéj z niedostatkiem jak dotąd walczyć nie będzie.

Panowie Doublaine i Callinot w Paryżu osobliwsze zbudowali organy, które świadczą o wielkich postępach w przemyśle muzycznym. Zamiast ogromnych miechów użyli prostéj machiny, którą dziecko władać może i wywiera ten sam skutek, co zwyczajne miechy. Piękne te organy przeznaczone są do kościoła S. Szczepana w Lille i wszyscy znawcy w Paryżu je oglądali i podziwiali.

Zamiast bruku wysłane będą ulice w Londynie gumą. Towarzystwo akcyonaryuszów otrzymało na ten wynalazek patent swobody, jest zaś następujący. Przejazdowi ulicznemu nadaje się podścielisko z drzewa, na nie wylewają gumę pomieszaną z trocinami i opiłkami żelaznemi. Massa ta twardnie i stanowi płaszczyznę niezdartą.

Arago doniósł akademii francuzkiéj, iż Daguerre wynalazł sposób utrwalania swych świetlic (światłoobrazów) w mniéj jak sekundzie, przez co i ruchome przedmioty, portrety, jak najwierniéj będą przedstawiane. Postępowanie wkrótce ogłoszoném zostanie na użytek publiczny. Tym sposobem Daguerre uwieńczył swój wynalazek i unieśmiertelnił siebie.

Towarzystwa wstrzemięźliwości nietylko w Stanach Zjednoczonych Ameryki, ale i w Europie całéj, coraz więcéj znajdują zwolenników. Tak niedawno temu dominikan Mathew połowę niemal Irlandyi skłonił do takich towarzystw, sam O'Connell

zapisał się jako członek tychże, oświadczając, iż tym sposobem najdowodniéj zbije zarzuty mu czynione przez nieprzyjaciół, iż nie jest zwolennikiem wstrzemięźliwości. Nie tak w Hamburgu. Lud tego miasta jest przeciwnym wstrzemięźliwości i dla tego w dniu 18. Stycznia r. b. zaprotestował przeciw towarzystwu tego rodzaju na sali w Johanneum. Kiedy członkowie towarzystwa odbywali swe posiedzenie w téj sali, lud zapełnił i salę i przedsionki i cały plac przed Johanneum, a częstując się wzajem wódką, równie jak i dyrektora i członków towarzystwa wstrzemięźliwości, począł śpiewać:

Wir wollen ihn nicht haben,
Den Mässigkeitsverein;
Wir wollen uns stets laben
An Wein und Branntewein.

Po śpiewie zgiełk, wrzawa, dysputy, rzucanie flaszek na członków i dyrektora, tłuczenie szyb i t. d. nastąpiło. Wzburzenie umysłów z sali wytoczyło się na ulice, cały Hamburg na nogach, tłumy ludu zalegały ulice i już na coś gorszego się zanosiło, kiedy w bębny gwardyi miejskiéj na zbiór uderzono, a zebrana gwardya miejska przytłumiła zamieszanie, poimawszy 60 najniewstrzemięźliwszych przeciwników wstrzemięźliwości.

W Bostonie osądzono przed niedawnym czasem pewną osobę na karę pieniężną za przypatrywanie się grze w karty w niedzielę, bo nietylko tam zakazano grać, ale i przypatrywać się grze w karty w niedzielę.

Przykład następujący dowodzi najlepiéj, jaki jeszcze zabobon w Anglii panuje. W Holly Lodge, należącym do sławnego bankiera Coutts, znachodzą się na ostatnim stopniu przepysznych wschodów marmurowych w przedsionku pałacu dwie stare zardzewiałe i złamane podkowy, które wraz z żoną, niedawno zmarłą księżną St. Albano, znalazł na ulicy i przed podwojami pałacu przybić rozkazał, aby był wolny od wpływów czarownic i innych złych duchów.

Gazety francuzkie donoszą o szczególniejszym przypadku. Podczas ostatniéj wyprawy francuzkiéj z Algieru w pustynię, znalazł konny strzelec obok namiotów opuszczonych przez Beduinów dosyć obszerny miech. Pospieszał z wkładaniem go na konia, lecz na głos ludzki z niego wydobywający się, złożył go napowrót na ziemię i obaczył, co się w nim znajduje. Nie mało się zadziwił na widok kobiety i pakietu z 12,000 franków. Żołnierz zostawił kobietę, a pieniądze zabrał ze sobą. Zdaje się, iż właściciel téj młodéj, może szesnastoletniéj niewiasty i tych pieniędzy, w czasie ucieczki ukrył te dwa najdroższe mu skarby na świecie, by je za powrotem odzyskać.

Z najnowszemi wiadomościami o wojnie Anglików z Chinami, doszło nas kilka rysów z ich życia domowego. Tak użalają się Anglicy na brak pieców w pokojach chińskich i trudno im się uchronić przed zimnem. Jeżeli Chińczykowi zimno, tak wiele wkłada na siebie ubiorów lub płaszczy, aż ciepło czuje. Skoro mu za gorąco, składa napowrót swe szaty. W oknach mieszkań nie mają szkła, tylko pewien rodzaj cienkiego papieru.

Pewien Anglik wyrachował, że znana aktórka Rachel w Paryżu, za każdy wiersz przedeklamowany na scenie franka pobiera.

Wspomnienie o Talmie. Talma starał się troskliwie unikać śmieszności. W pewném mieście występował w roli Jakóba Molay w „Templaryuszach.“ W chwili zapału, gdzie Templaryusze idą na śmierć i wielki mistrz przemawia:

» . . . . . . nie jest to karą,
» . . . . . . ale chwałą męczenników, —
»Dziękujmy niebu, które nam ją zsyła,«

spostrzegł Talma obok siebie Templaryusza bardzo brzydkiego i obawiał się, aby nie zepsuł całego wrażenia. Talma stał z wzniesionemi rękoma i spokojném obliczem, a ciągle szeptał coś do dyrektora teatru Bernard, który stał obok niego przebrany za Templaryusza pobożnego. Talma daléj deklamował:

»Jam gotów, a wy bracia jesteście gotowi?«

Co to za osieł w tym ludzkim ubiorze tu na prawo? Jak możecie ustawiać taką twarz obok mnie? — Bernard na to: przepraszam cię kochany Talmo. Talma deklamuje:

»Boże, ciebie uwielbiam, darzysz nas odwagą,
»Wyższą niż nasze nieszczęście . . . . .

Bernard wzruszony i ze łzami w oczach: masz słuszność kochany Talmo, bardzo jest brzydki. Ale cóż począć w téj chwili. On jest tak przywiązanym do sztuk pięknych, iż nigdy nie opuszcza sposobności występowania jako statysta, sam zaś jest obywatelem tutejszym i farbierzem. O statystów trudno u nas. Talma:

»Wzniosły dajemy przykład światu i t. d.«

Powiedz mu, niech się oddali. — Bernard po cichu do farbierza: »oddalcie się.« — Templaryusze oddalają się wszyscy, zamiast otoczyć wielkiego mistrza. Talma obraca się do rycerzy pełen natchnienia:

» . . . . . . godni rycerze!«

»Gdzie się podzieli ci głupcy?« pyta stłumionym głosem Talma. Bernard do statystów: »wracajcie!« Templaryusze wracają, a farbierz na czele. Talma:

»Z życiem raz tylko się żegnamy i t. d.«

»Niech go djabli wezmą! Panie farbierzu, schowaj się za drugich!« — Farbierz: »nie mogę, bo zważaj pan, że jestem najlepiéj ubrany.« Talma: »idź do djabła ośle!«

»Kochani przyjaciele i t. d.«
Farbierz: „ja mu nie daruję, ja mu rozbiję łeb temu Talmie!« Talma go ściska: »ja cię każę za drzwi wyrzucić!« Głośno daléj deklamuje:

„ . . . . . o sławna śmierci!
„Z rusztowania wstąpim do nieba!«

W czasie téj sceny, dzielącéj się na cichą i głośną, publiczność rzewliwie płakała.

MODY. — Paryż, dnia 25. Stycznia 1841. Szlafroczki z zielonego atłasu osadzają teraz bardzo często kunami, w szerokie pasy. Stanik u nich gładki, obcisłe rękawy i dwa rzędy grubych guzików.

Rękawy powszechnie są obcisłe od przegubia do łokcia, odtąd zaś do ramienia cokolwiek obszerniejsze.

Przepaski sznurowe biorące początek od pobożnych pokutnic, które sznurem owięzywały swe nędzne odzienie, teraz weszły w powszechną modę.

Negliż domowy. Suknia z szarego merynosu, osadzona naokół niebieskim aksamitem. Obcisłe rękawy. Wyłogi i kołnierz w kształt chusteczki z aksamitu niebieskiego. Czepek z indyjskiego muślinu, orzucony paskiem szerokim falbankowym, haftowanym, także z muślinu. Pantofelki z niebieskiego aksamitu.

Ubiór do wyjścia. Suknia z pensée atłasu o dwóch falbanach. Burnus z czarnego kaszemiru, wybrzeżony arabeskami. Kapelusz z czarnego aksamitu, podszyty zielonym aksamitem.

Strój mniejszy na wieczory. Suknia z kafowego renaissance-pekinu z szeroką falbaną, którą wstrzymuje po każdéj stronie sukni kilka stopni wstążek atłasowych. Berta z koronki. Za klejnot perły, we włosach głowy róża.

Strój większy na wieczory. Suknia z różowego tulu o dwóch rzędach bufek, z boku ujętych girlandą z kwiatów i djamentu. Białe rękawiczki ze srebrną przepaską sznurową.

Tuniki i suknie podwójne ciągle są w modzie i przyznać należy, że jeżeli dobrze zrobione, nic nie masz nad nie świeższego, lekszego i piękniejszego na ubiór balowy.

Na balach styczniowych najwięcéj widzieliśmy sukien z białego atłasu i aksamitnych. Najpiękniejsze były zaś z pekinu broszerowanego lub brokatu.

Fręzle wszelkiego rodzaju tak są w używaniu powszechném, iż trudno ich dostarczyć; osadzają niemi nawet podwójne suknie tulowe, ale lekkością równające marabutom.

Pokazano nam suknię w Paryżu zrobioną, a przeznaczoną za granicę. Była to podwójna suknia, z staników greckim, wszystko z gładkiego tulu wyrobione i orzucone szerokim, przejrzystym splotem złota i pąsu. Sznur przepaskowy z złota i pąsu, kończył się w arabskich kutasach, podobnie jak i małe sznury, które przewięzywały w środku rękawy krótkie zmarszczane. Strój głowy do tego ubioru przeznaczony, składał się z koronki w rodzaju pąsowego splotu, którego końce słaniały się na ramiona w piękne kutasy z złota i jedwabiu.

Szale białe kaszemirowe podszywają pluszem niebieskim i osadzają sznurem lśniącym złotem i jedwabiem niebieskim. Inne szale, np. z różowego atłasu, podbijają białym pluszem, czarno centkowanym, nakształt gronostai.

Ubiory mężkie. Paletoty burnusowe, surdutowe i miechowe. Ostatnie bywają z flaneli, z podszewką jaskrawo odbijającą, drugie z jedwabną sztepowaną; pierwsze sznurami, futrem osadzone i opatrzone kapturem.

Fraki na strój wyłącznie czarne z szerokiemi anglezami (wyłogami napierśnemi), które u dołu się wywijają. U góry węższe poły, opadają prosto ku dołowi. Rękawy obcisłe, krótkie, bez wyłogów, mankietki wywinięte. Guziki w kolorze sukna. Oprócz czarnych fraków noszą jasno-granatowe, zielone, bronzowe, a do tych po większéj części grubo rznięte metalowe guziki.

Kamizelki mało co się zmieniły. Zwykle na wyjście są aż do góry zapinane, z wyłożonym w okrąg kołnierzem. Na strojne wzięcie, otwarte, z kołnierzem wyłożonym, lecz nie szerokim. Na półstrój do nich użyte tkaniny są angielskie i francuzkie kaszemiry we wzory, na większy strój atłasy z wyrabianemi wzorami.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór balowy. Suknia tulowa z podwójną bufkową osadą, w kształt łuku, zdobną różami. Strój głowy kwiaty i marabut. Długie rękawiczki łabędzikiem orzucone. Szarfa atłasowa z brzegiem pluszowym.
2. Watowana kapotka z słaniającém się piórem. Szlafroczek jedwabny szeroko futrem oszyty.
3. Strój głowy aksamitny, bramowany złotem i z kutasami. Włosy w grube sploty. Suknia z przerabianego atłasu. Burnus kaszemirowy, brzeżony z grecka.
4. Ubiór mężki. Krótki surdut z szalowym kołnierzem. Pantalony w drobne wzory. Kapelusz bardzo wysoki.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

3.